Olga Barycz, Paweł Wimmer

Lalka

Powrót Wokulskiego

Wydawnictwo Libretto

Warszawa 2027

Tytuł oryginału: Lalka. Powrót Wokulskiego

Projekt okładki i strony tytułowej: Paweł Wimmer

Skład: Paweł Wimmer

Copyright:

© Olga Barycz

© Paweł Wimmer Wydawnictwo Libretto

ISBN 978-83-68007-31-2

E-mail: prwimmer@libretto.studio

Druk i oprawa:

OSDW Azymut sp. zo.o., Łódź, ul. Senatorska 31

I. Powrót ... 7
Człowiek, który ocalił mu życie ... 11
II. Spotkanie w kantorze ... 16
Subiekt i uczony ... 22
III. Pani Łęcka ... 26
IV. Spotkanie w księgarni ... 32
V. Pamiętnik starego subiekta ... 39
Bułgarskie złoto ... 44
VI. Baron w salonach Europy ... 58
Wizyta u księżnej ... 64
VII. Herbata przy Kruczej ... 68
VIII. Kobieta z Paryża ... 75
Początki przyjaźni ... 81
IX. Warszawa płonie ... 85
Radecki ... 88
X. Noc inżyniera Mirskiego ... 92
XI. List, którego nie wysłano ... 98
XII. Cienie na suficie ... 102
Nauczyciel ... 106
XIII. Prośba ... 113
XIV. Ostatni spacer ... 122
XV. List z Paryża ... 130
XVI. Podróż ... 140
XVII. Pierwsza próba ... 147
XVIII. Éditions Delorme ... 152

XIX. Umowa 162
XX. Étienne 172
XXI. Książka, o której milczano 184

I. Powrót

Piątek, 27 października 1905 roku.

Nocny pociąg z Wiednia przybył do Warszawy z czterdziestominutowym opóźnieniem. To było niezwykłe – kolej cieszyła się opinią wyjątkowo punktualnej i dobrze zarządzanej. Teraz wydarzenia w carskiej Rosji coraz bardziej wdzierały się do codzienności – pociąg został na kilkadziesiąt minut zepchnięty na bocznicę, by przepuścić pospieszny transport wojskowy z oddziałami kozackimi zdążającymi z południa do Warszawy.

Wokulski nie był zmęczony. W luksusowym przedziale pierwszej klasy wiedeńskiego pociągu zapadł szybko w sen, chroniony przed światem grubymi zasłonami. Ciszę przerwał tylko wstrząs na stacji Granica pod Sosnowcem, gdzie zjeżdżano ze strefy austriackiej do zaboru rosyjskiego, a gdzie carscy celnicy w szarych szynelach dość bezceremonialnie wyciągnęli podróżnych do kontroli paszportów. I gdzie wreszcie ze składu austriackiej C.K. Uprzywilejowanej Kolei Północnej Cesarza Ferdynanda przesiadano się do wagonów Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, czyli Wiedenki.

Odbierając dokument z carską pieczęcią, Wokulski spojrzał na datownik i uśmiechnął się z chłodną ironią. Wiedeń zostawił dwudziestego szóstego października wieczorem, a do imperium Romanowów wjechał… czternastego rano. Trzynaście dni odzyskane w jedną noc, i to bez dopłaty do biletu, jeśli nie liczyć jednej godziny i jednej minuty straty przy przesunięciu zegarka do przodu. Petersburg wciąż rachował czas po swojemu, jakby imperatorski ukaz potrafił zatrzymać ruch planet i oszukać prawa astronomii, a urzędnik musiał na jednym papierze pomieścić dwie daty, żeby pogodzić kalendarz Boży z carskim. Pociągi, jak zauważył Wokulski, spóźniały się sumiennie podług obu, obojętne na rachubę czasu.

Wsiadł wreszcie do wagonu i zapadł w niespokojny poranny sen aż do Skierniewic.

Gdy pociąg dojechał w końcu do Warszawy, Wokulski spojrzał na zegarek, schował go do kieszeni kamizelki i zaczekał, aż pozostali podróżni opuszczą wagon.

Miał siedemdziesiąt trzy lata. Był wciąż wysoki, o włosach barwy popiołu i starannie przystrzyżonej brodzie. Poruszał się wolno, lecz plecy trzymał prosto, niemal sztywno. Tylko dłonie zacisnął mocniej na rączce laski. W chłodniejsze dni drętwiały i mrowiły – pamiątka po syberyjskich mrozach.

Na peronie panował rozgardiasz. Tragarze przekrzykiwali się z podróżnymi, kobiety dźwigały tłumoki, a dwaj rosyjscy żandarmi w szarych szynelach przyglądali się wysiadającym. Pachniało mokrym węglem i potem. Wokulski postawił kołnierz palta. Warszawa przywitała go chłodem, mgłą i znajomym nieporządkiem.

– Dorożkę, jaśnie panie? – Młody tragarz o zaczerwienionym od porannego przymrozku nosie chwycił za walizkę.

– Tak.

– Dokąd?

Wokulski zawahał się, jakby samo nazwanie miejsca na głos miało w sobie coś niestosownego.

– Do Europejskiego.

Chłopak wykrzywił usta w uśmiechu.

– Pierwszy raz w Warszawie?

– Nie. Mieszkałem tu kiedyś.

– Dawno?

– Bardzo dawno.

Tragarz zarzucił bagaż na ramię, brodząc w błocie między wysokimi kołami powozów.

– To pan miasta nie pozna. Tu teraz co tydzień strajki, panie dziejku. Wczoraj kozacy ludzi na Nowym Świecie gonili, aż się kurzyło. Piekielne czasy.

Wokulski minął afisz przy wyjściu, ostrzegający przed udziałem w nielegalnych zgromadzeniach, i rzucił krótko:

– Widzę.

W dorożce siedział sztywno, wodząc wzrokiem po fasadach. Przybyło domów – tam, gdzie kiedyś stały skromne, parterowe budki, rosły teraz czynszowe kamienice o ociekających fałszywym bogactwem gipsowych sztukateriach, które miały udawać pałace. Pstre szyldy biły w oczy na każdym rogu, obiecując wszystko: od zagranicznych likierów po szczęście na kredyt. Przechodnie spieszyli się z pochylonymi głowami, jakby uciekali przed deszczem albo policją.

Nie planował tego powrotu. Przez ostatnie dwadzieścia kilka lat jego domem były ciche gabinety we Francji i pracownie w Szwajcarii, gdzie pachniało kwasami i nagrzanym metalem.

Obracał kapitałem, finansował cudze błędy i cudze odkrycia, pomnażał sumy tak abstrakcyjne, że nie miałby ich już nawet na co wydać.

W Zurychu i Paryżu znalazł w nauce spokój, którego brakowało mu dawniej. Maszyny działały według określonych praw, doświadczenia dawały wyniki możliwe do sprawdzenia. Nawet niepowodzenia miały swoje przyczyny, które można było poznać i usunąć. W stosunkach z ludźmi nigdy nie było to takie proste.

Przez lata sądził, że zapomniał o Izabeli Łęckiej. Nie zapomniał, rzecz jasna, ale wspomnienia utraciły dawną władzę nad jego życiem. Pamiętał jeszcze, jak godzinami wyczekiwał jej spojrzenia, jak tłumaczył sobie każde obojętne słowo i jak łatwo znajdował usprawiedliwienie dla kolejnego upokorzenia. Dziś myślał o tym z pewnym zawstydzeniem.

Papiery adwokackie stanowiły zresztą tylko pretekst. Prawdziwym powodem przyjazdu była zwykła ludzka ciekawość, do której niechętnie się przed sobą przyznawał. Chciał po prostu zobaczyć, co zostało z miasta, z którego kiedyś uciekał w takim popłochu.

W hotelu dostał pokój na pierwszym piętrze z oknami na Krakowskie Przedmieście. Wnętrze pachniało pastą do podłóg, wytartym kortem na meblach i wywietrzałym dymem cygar.

Rozpakował się bez pośpiechu, ułożył rzeczy w szafie, wypił szklankę gorzkiej herbaty przyniesionej przez hotelowego służącego i dopiero wtedy podszedł do okna. W dole pod parasolami ciągnął przemoczony tłum.

Próbował odnaleźć w sobie dawne wzburzenie. Pamiętał twarze, rozmowy i daty, ale tamten dawny skurcz w gardle, z jakim wyjeżdżał z Warszawy, zniknął zupełnie. Została tylko spokojna ciekawość człowieka, który po latach ogląda zbiory w muzeum.

Wczesnym popołudniem wyszedł z hotelu bez parasola. Skierował się prosto ku pobliskiej kamienicy na Krakowskim Przedmieściu, przy Królewskiej, w której przed laty mieścił się jego sklep galanteryjny.

Przez chwilę stał na mokrym chodniku, niepewny, czy nie pomylił bramy. Dawny szyld zniknął, a za szerokimi szybami wystawy leżały zagraniczne towary opatrzone francuskimi i niemieckimi etykietami.

Popatrzył na mosiężną klamkę, którą kiedyś naciskał codziennie rano, po czym wszedł do środka.

– Czym mogę służyć? – Młody subiekt o wyfryzowanych włosach uśmiechnął się zza lady.

– Oglądam tylko.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

– Dawnego właściciela.

Subiekt zmierzył go wzrokiem, oceniając skromny, choć dobrego gatunku garnitur.

– To do pana Szlangbauma trzeba uderzyć. Kantor ma przy Senatorskiej.

– A Ignacy Rzecki? Pamięta pan to nazwisko?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Pierwsze słyszę.

Wokulski skinął głową i wyszedł.

Wiedział przecież, że Rzecki od dawna nie żyje. Wiadomość dotarła do niego w Paryżu z opóźnieniem, kiedy grób na Powązkach dawno już zarósł trawą. Odkładał tę podróż z miesiąca na miesiąc, aż pewnego dnia zorientował się, że nie ma już kogo pytać o szczegóły.

Czekała go jeszcze jutrzejsza wizyta w kantorze.

***

Człowiek, który ocalił mu życie

Tego ranka, jeszcze przed przyjazdem do Warszawy, pociąg zwolnił przed Skierniewicami. Wokulski odłożył gazetę i spojrzał przez okno. Rozpoznał długi budynek dworca, magazyny kolejowe i rząd semaforów. Od strony parowozowni ciągnął się niski dym.

Przez chwilę obserwował pracującego przy torach kolejarza. Człowiek ten niósł pod pachą zwiniętą chorągiewkę, a drugą ręką poprawiał czapkę zsuwającą mu się na czoło.

Wokulski przypomniał sobie Kacpra Wysockiego. Poznał go bliżej na rok przed ową nieszczęsną podróżą do Krakowa. Dróżnik przyjechał wówczas do Warszawy, by podziękować za pomoc w uzyskaniu przeniesienia z okolic Częstochowy do Skierniewic. Wokulski zajął się jego sprawą na prośbę starszego brata, warszawskiego furmana, którego wcześniej wydobył z biedy.

Kacper zjawił się w sklepie w odświętnym surducie, wyraźnie za ciasnym pod pachami. Przyprowadził ze sobą dziesięcioletniego syna Pietrka, chłopca o jasnych włosach i poważnym spojrzeniu.

Wokulski pamiętał zakłopotanie, w jakie wprawiły go przesadne podziękowania kolejarza. Kacper chciał przed nim klękać, a kiedy Stanisław zaprotestował, zaczął tłumaczyć synowi, jak wielki dług wdzięczności zaciągnęła cała rodzina.

– Wystarczy, Wysocki – przerwał mu wtedy Wokulski. – Lepiej powiedz, jak się teraz urządziłeś.

Kolejarz usiadł dopiero po kilkakrotnym zaproszeniu.

– Dobrze, wielmożny panie. Grunt mam niedaleko stacji, trzy morgi. Żona pilnuje gospodarstwa, a ja kolejowej służby. Przybyła nam jeszcze krowa. Jak Bóg da, to i konia kupimy.

– A chłopak chodzi do szkoły?

– Chodzi, proszę pana. Tylko z rachunkami ma trudność.

Wokulski zwrócił się do Pietrka.

– Powiedz no, ile to będzie siedem razy osiem?

Chłopiec pomyślał przez chwilę.

– Pięćdziesiąt sześć.

– Doskonale. Więc ojciec niepotrzebnie narzeka.

Kacper roześmiał się, zadowolony z pochwały.

Przy pożegnaniu Wokulski dał chłopcu kilka drobnych monet na książki. Pietrek schował je do kieszeni, ale ojciec kazał mu natychmiast wyjąć i podziękować porządnie.

Stanisław patrzył za nimi, kiedy wychodzili ze sklepu. Kacper szedł sztywno, wciąż poprawiając kołnierz, a chłopiec co kilka kroków oglądał się na wystawę. Nie przypuszczał wówczas, że ten człowiek odegra jeszcze jakąkolwiek rolę w jego życiu.

Niespełna rok później, podczas podróży do Krakowa, Wokulski wysiadł w Skierniewicach.

Usłyszał wcześniej rozmowę Izabeli ze Starskim. Rozumiał każde słowo, choć oboje sądzili, że angielski zapewnia im dyskrecję. Pamiętał ich poufałość, własne osłupienie, a potem gwałtowną potrzebę wydostania się z wagonu. Wymyślony telegram pozwolił mu przerwać podróż.

Został sam na stacji.

Dalsze wydarzenia wspominał przez lata niechętnie. Wędrował wzdłuż torów, nie mogąc uwolnić się od tego, co usłyszał. Nie pamiętał dokładnie, kiedy postanowił odebrać sobie życie. Później zdawało mu się, że żadnej decyzji w ogóle nie podjął.

Zapamiętał natomiast nadjeżdżający pociąg, drżenie szyn i gwałtowne szarpnięcie, które odrzuciło go na bok.

Kiedy oprzytomniał, zobaczył pochylonego nad sobą człowieka w kolejarskim ubraniu.

Pierwszą jego reakcją był gniew. Odepchnął wybawcę, szarpał go i krzyczał. Dopiero kiedy tamten wymienił swoje nazwisko, Wokulski zaczął rozumieć, kto znajduje się przed nim. To był Kacper Wysocki.

Ten sam, który przyprowadził kiedyś do sklepu małego Pietrka. Ten sam, któremu pomógł uzyskać posadę w Skierniewicach.

Przez chwilę nie potrafił uwierzyć w ów zbieg okoliczności. Przypomniał sobie twarz kolejarza, jego przesadne ukłony i słowa wypowiedziane w obecności syna. Wtedy przyjął je z zakłopotaniem, niemal zniecierpliwiony. Teraz leżał przy torach, a człowiek, który przed rokiem dziękował mu za niewielką przysługę, właśnie ocalił go od śmierci.

Nie było w tym nic wzniosłego. Wysocki pełnił służbę. Zobaczył człowieka na torze i rzucił się mu na pomoc, narażając własne życie.

Resztę tamtej nocy Wokulski pamiętał w urywkach. Niewielką dziką gruszę rosnącą przy torach. Szorstką ziemię pod policzkiem. Własny płacz, którego nie potrafił powstrzymać. I kolejarza, który klęczał obok, starając się go uspokoić, a potem zabrał na noc do siebie.

Rano Stanisław wyjął pugilares i wręczył mu kilka banknotów. Prosił, aby nikomu nie opowiadał o nocnym zdarzeniu. Kolejarz przyrzekł milczenie. Pieniądze przeznaczone były dla dzieci. Wokulski pamiętał, że wręczał je z dziwnym uczuciem. Jeszcze niedawno mógł jednym podpisem rozporządzać ogromnymi sumami. Teraz wszystkie te pieniądze wydawały mu się bezużyteczne.

Nie miał żalu do Wysockiego, choć w pierwszej chwili po ocaleniu zachowywał się tak, jakby popełniono wobec niego krzywdę. Wiedział przecież, że dróżnik zrobił to, co powinien. A jednak przez długi czas nie potrafił wspominać go bez przykrości. Kacper widział go w stanie, którego Wokulski wstydził się najbardziej. Widział bogatego kupca, człowieka znanego w Warszawie, płaczącego na ziemi jak dziecko.

Po wyjeździe z Warszawy Wokulski kilkakrotnie przesyłał Wysockiemu pieniądze. Czynił to przez pośredników, nie życząc sobie osobistych podziękowań. Z czasem dowiedział się, że Pietrek dorósł i zaczął pracować. Kacper nadal mieszkał pod Skierniewicami, zajmując się niewielkim gospodarstwem.

Wiadomości przychodziły coraz rzadziej. Stanisław nie próbował odnawiać znajomości. Miał wiele spraw w Paryżu, później w Szwajcarii, wyjeżdżał do Niemiec i Belgii. Zajmował się doświadczeniami, zakładami przemysłowymi i lokowaniem kapitałów.

Kiedyś zamierzał odwiedzić Wysockiego. Później odkładał tę podróż.

Teraz, jesienią 1905 roku, pociąg powoli mijał skierniewickie zabudowania. Wokulski przyjrzał się kilku kolejarzom stojącym przy zwrotnicy. Jeden miał siwe wąsy i poruszał się powoli, wspierając rękę na długim żelaznym drągu. Przez chwilę wydało mu się, że to Kacper.

Pociąg przyspieszył. Stanisław odsunął się od okna. Pomyślał o Pietrku. Chłopiec miałby dziś jakieś trzydzieści siedem lat. Zapewne własne dzieci, obowiązki i kłopoty. Być może dawno zapomniał o bogatym kupcu, który kiedyś pytał go o tabliczkę mnożenia. Przypomniał sobie również słowa Wysockiego, wypowiedziane podczas pierwszej wizyty w sklepie. Kolejarz chciał wówczas nauczyć syna, że za otrzymaną pomoc należy się odwdzięczyć.

Wokulski uważał wtedy te słowa za przesadne. Teraz wiedział, że Kacper potraktował je poważnie. Sięgnął po notes i na jednej z ostatnich stron zapisał:

„*Skierniewice. Dowiedzieć się, co z Kacprem Wysockim i jego rodziną*”.

Po chwili dopisał:

„*Jeżeli żyje, odwiedzić osobiście*".

Wiedział, że gdyby spotkał Wysockiego, ten zapewne znów zacząłby dziękować za dawną pomoc. Być może mówiłby o pracy, gospodarstwie, dzieciach i wnukach. Wokulski również znalazłby coś do opowiedzenia. Mógłby mówić o Paryżu, nauce, podróżach i minionych latach.

Jednego tylko nie wiedział: czy potrafiliby wspomnieć tamtą noc bez zakłopotania. Nie był już pewien, czy w ogóle byłoby to potrzebne.

Przez okno zobaczył ostatnie zabudowania Skierniewic. Za nimi ciągnęły się pola, mokre od jesiennych deszczów. Do Warszawy pozostawało jeszcze trochę drogi.

II. Spotkanie w kantorze

Henryk Szlangbaum postarzał się łagodniej, niż wskazywałaby na to metryka. Przybrał tylko na wadze, a w jego ruchach pojawiła się pewność siebie człowieka, który od lat obraca dużymi pieniędzmi przy rządowych dostawach. W kantorze przy Senatorskiej było duszno; pachniało tureckim tytoniem, rozgrzanym żeliwem piecyka i kurzem ze starych akt.

Szlangbaum podniósł wzrok znad księgi rachunkowej oprawionej w świńską skórę. Przez chwilę patrzył zza złotych okularów z niedowierzaniem, po czym odłożył pióro i rozłożył szeroko ręce.

– Panie Stanisławie… – wykrztusił, wstając ciężko z fotela. – Przecież w Resursie i na placu Bankowym dawali głowę, że pan już dawno wącha kwiatki od spodu, a kości pana bieleją gdzieś w afrykańskich piaskach! A tu proszę… Stary, dobry pan Wokulski, żywy i w dodatku w tym samym niemal surducie.

Wokulski uścisnął podaną dłoń i usiadł w fotelu naprzeciwko biurka.

– Jak widać, nieco mnie w Warszawie pośpiesznie pochowano, panie Henryku – rzekł spokojnie. – Choć przyznam, że po tylu latach czuję się tu trochę jak przyjezdny z innego świata.

Szlangbaum opadł na fotel, wyjął z kieszeni kamizelki srebrną tabakierkę z monogramem i podsunął ją gościowi przez blat. Wokulski podziękował ruchem dłoni. Gospodarz sam zażył szczyptę, po czym starannie otarł wąsy batystową chusteczką.

– Z innego świata? – zaśmiał się gorzko Szlangbaum. – Panie Stanisławie, tamten świat skończył się w roku, w którym pan wyjechał. Teraz mamy tu dom wariatów. Z jednej strony nowi spekulanci, co za rubla sprzedaliby rodzoną matkę, z drugiej – wojsko, kozackie nahajki i młodzi, którzy z ulotkami w kieszeni biegają pod lufy. Handlujemy jak na wulkanie, powiadam panu. Nikt nie wie, co będzie jutro.

– Widziałem to po drodze – mruknął Wokulski, wpatrując się w ogień skaczący w żeliwnym piecyku. – Pociąg stał na bocznicy przez godzinę, bo

wojsko ściągało posiłki z południa. Potem na szczęście trochę nadrobił. Warszawa zmieniła się niemal nie do poznania. Wszystko jest głośniejsze i szybsze.

– I zarazem bardziej niezrozumiałe – podchwycił Szlangbaum, pochylając się nad biurkiem. – Dawniej człowiek wiedział, z kim ma do czynienia. Kupiec był kupcem, szlachcic szlachcicem, a subiekt znał swoje miejsce za ladą. A dzisiaj?

– Świat się zmienia, Henryku.

– Ech, panie, młodzi inżynierowie żądają udziału w zyskach, robotnicy co tydzień porzucają warsztaty, a banki kredytują fabryki, które jutro mogą pójść z dymem od jednej bomby. A pan? Co pan porabiał przez te wszystkie lata za granicą? Mówiono na giełdzie, że siedzi pan w laboratoriach, w elektryczności i metalurgii. Podobno dorobił się pan tam nowego majątku?

Wokulski nie odpowiedział od razu. Oparł dłonie na głowicy dębowej laski i spojrzał na dawnego subiekta.

– Majątku? Kiedy człowiek zrozumie, jak niewiele rzeczy na tym świecie jest naprawdę stałych, przestaje liczyć zyski w rublach czy frankach. We Francji zajmowałem się nauką. Kiedy doświadczenie się nie udawało, przynajmniej wiedziałem, że gdzieś popełniłem błąd. Z ludźmi jest trudniej.

Szlangbaum popatrzył na niego z ukosa, z tym swoim dawnym, kupieckim niedowierzaniem.

– Panie Stanisławie, pan nie wie, ile dziś kosztuje lojalność wobec władzy! Za każdą dostawę trzeba płacić trzem intendentom, a i tak przychodzi czwarty z Petersburga i pyta, dlaczego w płótnie na mundury brakuje patriotycznego ducha. A człowiek musi liczyć, czy rubel zdąży przed strajkiem!

– O ile pamiętam – zauważył chłodno Wokulski – w płótnie zazwyczaj brakowało wełny, a patriotyzm dopisywano na fakturze.

– A jednak pan wrócił, panie Stanisławie! Ktoś, kto naprawdę odciął się od Warszawy, przysłałby tu pełnomocnika, zamiast samemu tłuc się pociągiem przez granicę.

Wokulski spojrzał na niego chłodno.

– Muszę osobiście zamknąć sprawy spadkowe po mecenasie Ostrowskim.

– Formalności swoją drogą. – Machnął ręką Szlangbaum. – Ale na giełdzie od wczoraj aż huczy. Kiedy gruchnęła wieść, że zameldował się pan w Europejskim, połowa kupców na placu Bankowym odłożyła weksle. Pytają mnie od rana czy Wokulski wchodzi w nowe interesa. Czy zamierza pan wykupić jakieś zakłady albo założyć nowe towarzystwo akcyjne?

Wokulski pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

– Niczego nie zamierzam kupować ani zakładać, panie Henryku. Jestem już na to za stary. Przyjechałem tylko zamknąć dawne rachunki i popatrzeć na miasto, w którym spędziłem pół życia, jak na muzeum.

Szlangbaum wstał z fotela, podszedł do wąskiego okna wychodzącego na ruchliwą w sobotę Senatorską i odsunął nieco ciężką, zieloną zasłonę. Przez szybę widać było szary tłum przechodniów, grupkę robotników idących w milczeniu pod eskortą żandarmów oraz konne dorożki brodzące w jesiennym błocie.

– Muzeum… – mruknął Szlangbaum, nie odwracając głowy. – Widzi pan tych ludzi na ulicy? Oni nie chcą już oglądać eksponatów, panie Stanisławie. Oni chcą potłuc gabloty. Mój syn, ten młody radykał, co to studiuje w Zurychu, a potem wraca tu prawić o obaleniu caratu, mówi mi wprost: „Tato, twój świat spleśniał w starych księgach”. I wie pan co? Czasem myślę, że ma rację. Choć serce mi krwawi na myśl o tym, co stanie się z naszymi kapitałami, kiedy motłoch dorwie się do władzy.

Wokulski wstał powoli, wspierając się na lasce. Podszedł do okna i stanął obok dawnego pracownika, spoglądając na szary, dymiący pejzaż Senatorskiej.

– Pański syn chce wszystko urządzić od nowa – odezwał się cicho Wokulski. – Nie on pierwszy w tym mieście. Tylko że burzyć zawsze było łatwiej niż budować.

– Pan też chciał kiedyś świat poprawiać, panie Stanisławie.

– Chciałem. I to niejeden raz. Zdawało mi się, że kiedy człowiek ma kapitał, trochę rozumu i uporu, zdoła… – Urwał i machnął lekko dłonią. – Mniejsza z tym.

Szlangbaum odwrócił się od okna.

– I co, nie udało się?

– Sam pan widzi.

Przez chwilę obaj patrzyli na ulicę. Szlangbaum poprawił mankiet.

– A długo pan u nas zabawi? Czy znowu do Paryża, do tych swoich wynalazków?

– Nie wiem jeszcze. Mam parę innych spraw.

– Handlowych?

– Nie. Chcę odwiedzić grób Ignacego.

– A, właśnie. Kochany Rzecki…

– I z adwokatem muszę się zobaczyć.

– Rozumiem. – Szlangbaum zawahał się, po czym dodał: – A o pannie Łęckiej pan słyszał?

Wokulski spojrzał na niego.

– Co miałbym słyszeć?

– Ano, że jej się nie powodzi. Mieszka na Kruczej, podobno w dwóch pokojach. Francuskiego uczy. Dzieci różnych fabrykantów, kupców… Kto by to kiedyś pomyślał!

– Tak bywa.

– Ja tylko pytam, czy pan… No, czy chciałby ją pan zobaczyć.

– Po co?

– Tego już ja nie wiem.

Wokulski sięgnął po kapelusz, który zostawił na krześle.

– Nie przyjechałem tu dla panny Łęckiej.

– Ale ja przecież nic takiego nie mówię!

– To dobrze.

Szlangbaum chrząknął.

– Niepotrzebnie zacząłem. Przepraszam pana.

– Nie ma za co. – Wokulski odłożył kapelusz. – Powiedz mi lepiej o Ignacym. Na co umarł?

– Serce. Tak przynajmniej doktor wtedy mówił. Zresztą on już od dawna był jakiś… – Szlangbaum pokręcił głową. – Schudł, prawie nie wychodził. Siedział w swoim pokoju, ciągle z gazetami. I ten jego Napoleon…

– Był przy nim ktoś?

– Krewna przychodziła, z Woli. Sąsiedzi zaglądali. Ale wie pan, jaki on był. Niczego nie chciał, za wszystko dziękował. A potem zamykał drzwi.

– Smutne.

– Pytał o pana.

Wokulski podniósł głowę.

– Kiedy?

– Pod koniec. Kilka razy. Czy są od pana wiadomości, czy kto zna adres… Ja mu mówiłem, co wiedziałem. Słabo już pamiętam.

– Mogłem napisać.

Szlangbaum nic nie odpowiedział.

– Choćby kilka słów – dodał Wokulski.

– Panie Stanisławie, tyle lat minęło…

– Właśnie.

Szlangbaum przesunął po biurku leżące na nim papiery.

– Zostały po nim różne zeszyty. Pisał coś przez całe życie. Pamiętniki czy co. Nie wiem, czy pan o tym wiedział.

– Wiedziałem.

– To może pan zechce je obejrzeć? Powiem, gdzie się znajdują.

Rozmawiali jeszcze przez kwadrans o formalnościach po Ostrowskim i dawnych zobowiązaniach sklepu. Kiedy Wokulski wyszedł z dusznego kantoru na chłodny wiatr Senatorskiej, odetchnął z ulgą. Sprawy, które z daleka wydawały się powikłane, z bliska okazały się najzwyklejszą buchalterią.

Godzinę później dorożka wysadziła go przy szarym murze Powązek.

Grób Rzeckiego był skromny – płaska płyta z piaskowca, na której deszcz rozmywał litery nazwiska. Wokulski zdjął kapelusz, wystawiając siwiejącą głowę na chłodny wiatr. Nie klękał. Przez myśl przeszły mu te wszystkie lata, kiedy Ignacy bez słowa skargi pilnował buchalterii i wierzył w Napoleona, podczas gdy on sam szalał w wirze interesów i nieszczęśliwej miłości.

– Miałeś ze mną ciężki żywot, stary przyjacielu – szepnął do kamienia.

Kupił wcześniej u bramy woskóweczkę, zapalił ją teraz i wetknął w błoto przy płycie.

Wieczorem w hotelowej restauracji słuchał, jak kupcy przy herbacie dyskutują o rewolucji. Jeden krzyczał, że car musi dać konstytucję, drugi spluwał na podłogę, powtarzając, że kozak z nahajką lepszy jest od każdej konstytucji. Wokulski słuchał tego ze spokojem. Rok sześćdziesiąty trzeci… siedemdziesiąty ósmy… wszystko już widział.

Wrócił do pokoju, otworzył notes w skórzanej oprawie i napisał piórem:

„*Warszawa, 28 października 1905. Szlangbaum żyje. Odwiedziłem grób Rzeckiego. Czy niepotrzebnie tu jechałem?*”.

Popatrzył na ostatnie zdanie, skreślił je grubą kreską, a pod spodem dopisał: „*Jeszcze nie wiem*”.

***

Subiekt i uczony

Był rok 1858. Stanisław Wokulski liczył dwadzieścia sześć lat i terminował w winiarni, dziękując każdemu świętemu, że ma dach nad głową i garść miedziaków w kieszeni. Pracował za dwóch, a może i za trzech: z samego rana dźwigał ciężkie gąsiory z zimnych piwnic Hopfera, w ciągu dnia wycierał dębowe stoły, obsługiwał kapryśnych gości, badał stan beczek, a po zamknięciu lokalu szorował starannie podłogi sztywną szczotką maczaną w śmierdzącym ługu.

Zarabiał nędznie. Większość grosza szła na czesne u prywatnych korepetytorów i grube, zagraniczne podręczniki, resztę zaś oddawał pod przymusem ojcu na ten jego bezdenny, szalony proces o rodzinne grunta, który ciągnął się nieustannie po sądach ziemskich. Stary Piotr Wokulski potrafił przez pół nocy świecić łojową świecę, przeglądając stemplowane papiery, podczas gdy syn, przemarznięty i głodny, ślęczał nad podręcznikiem w kącie tej samej izby. *Zasady algebry* Mayera i Choqueta znał już niemal na pamięć. Za podniszczony podręcznik dał komuś pół oszczędzonego rubla. Grzbiet się odkleja, ale wszystkie kartki były na miejscu.

Nocami, gdy winiarnia wreszcie cichła, a nad Warszawą kładł się ciężki, jesienny mrok, Wokulski uciekał do swojego prawdziwego świata. W ciemnej, wilgotnej piwnicy, za cichą i nieco pobłażliwą zgodą Machalskiego, zbił z desek mały warsztat. Próbował tam skonstruować perpetuum mobile – maszynę, która dzięki sprytnemu układowi kół, ciężarków i miedzianych pomp miała poruszać się sama, bez żadnego dopływu energii z zewnątrz. Doświadczenia kończyły się regularnym fiaskiem: koła stawały w martwym punkcie, tłoki klinowały się w cylindrach, a woda wylewała się na podłogę piwnicy. Ale Wokulski nie rezygnował. Gdy pękała jedna rurka, lutował ją na nowo; gdy teoria zawodziła, szukał błędu w równaniach.

Współpracownicy patrzyli na to przez palce albo z powszechną wkoło kpiną. Machalski odnosił się do niego po ludzku, czasem rzucił dobre słowo lub pozwolił na dłuższą przerwę; stary Hopfer uśmiechał się pod siwym wąsem, uważając te eksperymenty za chwilową, nieszkodliwą dziwaczną modę młodego człowieka. Ale podoficerska część personelu – na czele z subiektem

Leonem Kuleszą – widziała w tym czystą pychę i zamach na porządek społeczny. Kulesza pachniał tanią wodą kolońską, nosił nienagannie wystrzyżone faworyty, dbał, by jego mankiety zawsze były śnieżnobiałe i znał na pamięć upodobania każdego urzędnika, który zostawiał w knajpie największe napiwki.

– O, profesor idzie! – wołał Kulesza głośno, gdy Wokulski wchodził rankiem na salę z podkrążonymi oczami i śladami sadzy za paznokciami. – Coś pan taki bladej cery, panie uczony? Znowu pan księżyc mierzył albo ważył parę butów na aptekarskiej wadze?

– Daj mi spokój, Kulesza – mruknął Stanisław, omijając go na wszelki wypadek szerokim łukiem.

– Pytam tylko z czystej grzeczności. Może pan wreszcie wynalazł sposób, żeby pyszny węgrzyn sam rano szedł do gardła gościom, bez fatygowania subiektów i psucia sobie kręgosłupa?

Młody chłopaczek na posyłki, czternastoletni Janek, parsknął cicho śmiechem. Kulesza rzucił w jego stronę ostrzegawcze łypnięcie okiem i poprawił nienaganny węzeł krawata.

Raz w południe zjawił się stały gość, pan Rosiński – ziemianin o czerwonej, nalanej twarzy, który lubił, gdy przy sąsiednich stolikach słuchano jego głośnych, nietaktownych dowcipów. Kiedy Wokulski postawił przed nim ciężki kielich z węgrzynem, tamten zatrzymał go gestem mięsistej dłoni:

– Stawaj no tu, Wokulski. Podobno ty się uczysz po nocach? Księgi jakieś grube czytasz, głowę sobie zawracasz… Co ty, inżynierem chcesz być czy rektorem na uniwersytecie?

– Uczę się, proszę pana – odparł powściągliwie Stanisław.

– A czego to? Teologii? Medycyny?

– Matematyki i fizyki.

– Słyszeliście, panowie? Fizyki! – Rosiński wybuchnął głośnym, ryczącym śmiechem, rozlewając czerwone wino na biały obrus. – A po co ci fizyka, mój

kochany? Do nalewania szampana czy do liczenia, ile korków wystrzeli do północy?

Wokulski zesztywniał, czując, jak pod suknem surduta krew uderza mu do skroni.

– Chciałbym kiedyś pójść na studia, proszę pana.

– Gdzie? Ty? Na uniwersytet? – Rosiński zakrztusił się winem, poklepując się po tłustej piersi. – A pieniądze masz, bracie? Z samej fizyki to się jeszcze nikomu brzucha nie udało napełnić, chyba że ambicją!

Goście przy sąsiednich stolikach parsknęli głośnym śmiechem, a Wokulski, nie podnosząc wzroku, wziął pustą tackę i odszedł w głąb bufetu.

Kulesza już czekał przy ladzie, ostrząc sobie zęby na nowy kąsek:

– No i jak tam, panie profesorze? Zdał pan egzamin przed panem Rosińskim? Postawił panu chociaż korepetycję z butelkowania?

– Odczep się, Kulesza.

– Czekaj no… Może i ja bym się zapisał na tę twoją fizykę, co by mi piwo w piwnicy nie kwaśniało od patrzenia na taką pańską minę.

– Kulesza! – huknął z zaplecza Machalski, wysuwając siwą głowę zza skrzynek z butelkami. – Zostaw chłopaka w spokoju i idź sprawdzić inwentarz w składzie, bo ci się butelki w oczach mnożą!

Kulesza mruknął coś niewyraźnie pod nosem i odszedł, ale uraza została. Wieczorem, gdy Wokulski zszedł na chwilę do zaplecza, by odłożyć ołówek, znalazł swój zeszyt z rachunkami leżący na środku stołu w jadalni subiektów. Ktoś narysował na okładce węglem karykaturę w akademickim birecie, dopisując pod spodem wielkimi, kanciastymi literami: „*Wielki uczony od nalewania pomyj*”.

Wokulski wziął zeszyt do ręki, czując, jak w piersiach rośnie mu dławiący gniew. Kulesza stał w progu salki, uśmiechając się z satysfakcją i przekładając klucze w kieszeni.

– Kto to zrobił? – zapytał Stanisław głuchym głosem.

– Duch święty naukowy – odparł tamten bezczelnie, wzruszając ramionami. – Leżało na wierzchu, to i oczy cieszy. Nauka powinna być jawna dla każdego pracownika.

Wokulski zerwał kartkę, zmiął ją w pięści tak mocno, że aż trzasnął papier, i rzucił na podłogę. W tej samej chwili zza drzwi wyszedł Hopfer. Zrobiło się nagle cicho.

– Co to za wrzaski? – zapytał właściciel, omiatając wzrokiem obu subiektów i patrząc na bałagan na stole.

– Pan Wokulski wszczyna awanturę przed gośćmi o zwykły żart, panie pryncypale – pospieszył z obłudnym wyjaśnieniem Kulesza.

Hopfer popatrzył na zmięty papier na podłodze, potem na pobladłą, zaciętą twarz Stanisława.

– Schowaj swoje papiery, Stanisławie. A ty, Kulesza, pilnuj swojej roboty, a nie cudzych szuflad. Nie płacę wam za teatry i szkolne wybryki.

Wokulski wrócił do piwnicy i zabrał się do lutowania miedzianej rurki. Ręce jednak nie były posłuszne. Odłożył wreszcie lutownicę i usiadł na odwróconej beczce. Najbardziej złościło go to, że jutro znów będzie musiał stanąć za ladą obok Kuleszy i znosić jego koncepty. Ile jeszcze lat miał tak spędzić?

Postanowił, że choćby przyszło mu uczyć się po nocach i odmawiać sobie obiadu, wydostanie się od Hopfera. A może kiedyś dorobi się i kupi całą tę winiarnię. Ciekaw był, jaką minę zrobiłby wówczas Kulesza.

III. Pani Łęcka

Izabela nienawidziła poranków.

O tej porze dwa wysokie okna na Kruczej wpuszczały do pokoju tak jaskrawe światło, że od razu widać było wytarte plusze na szezlongu, pęknięty gzyms nad piecem i ten uporczywy kurz po kątach, którego Michalina – dawna dróżnikowa, co przychodziła pięć razy w tygodniu – nigdy nie potrafiła dobrze wymieść. Izabela nazywała ją przed rzadkimi gośćmi swoją gospodynią, choć obie doskonale wiedziały, ile wart był ten tytuł.

Dawny komfort prysł, a najbardziej dawał o sobie znać w sprawach najprostszych, fizjologicznych. O łazience z bieżącą wodą – jak w hotelu Europejskim albo u bogatych fabrykantów w Alejach – nie było nawet co marzyć. Był tylko kran z zimną wodą w kuchni. Zamiast wanny, za parawanem stała duża blaszana miednica, do której Michalina wnosiła gorącą wodę w obtłuczonym dzbanku prosto z kuchennego piecyka. A wygódka na półpiętrze? Ciemna, o świcie lodowata, przesiąknięta zapachem wapna, dzielona z rodziną awanturniczego szewca i trzema kramarzami. Dla kobiety, której całe życie pachniało wodą różaną i czystym lnem, każde wyjście na te schody z żelaznym kluczem w ręku było nieprzyjemną, codzienną lekcją upadku.

Tego sobotniego ranka siedziała przed owalnym lustrem, wbijając szpilki w kok. Pięćdziesiąt dwa lata. Rysy twarzy miała wciąż regularne, ale skóra na szyi zwiotczała, a wokół oczu legła siatka drobnych zmarszczek. Jasne włosy, niegdyś budzące zazdrość na balach, gęsto już przyprószyła siwizna, starannie maskowana wodą z orzecha i zręcznym splotem. Stara wcale się nie czuła; sądziła raczej, że to świat zwariował i przestał dostrzegać jej wartość.

Na stoliku parzyła się w dzbaneczku kawa. Obok leżał rachunek za węgiel – szary, zatłuszczony papier z wyciągniętą na dole sumą, od której bolały oczy. Kiedyś takich drobiazgów w ogóle nie dostrzegała; był ojciec, byli pełnomocnicy, kasjerzy i weksle podpisywane bez patrzenia na cyfry. Dziś każdą kopiejkę trzeba było obrócić w palcach trzykrotnie, zanim wydało się ją z sakiewki.

Nędzą w rodzaju żebrzących pod kościołem Świętego Krzyża jeszcze nie grzeszyła. Miała dach nad głową, parę ocalałych bibelotów, brylantowe kolczyki na dnie szkatułki i skromną rentę z testamentowego zapisu śp. prezesowej Zasławskiej dla ojca, Tomasza, z których od lat już korzystała. Ale to zawieszenie między dawnym blichtrem a ubóstwem wymagało codziennej, upokarzającej gimnastyki.

Najgorsze były te lekcje. Od trzech lat uczyła francuskiego córki fabrykanta Borkowskiego – dziewczęta głośne, ubrane w zbyt pstre suknie, z których starsza co rusz zadawała męczące pytania.

– Czy pani hrabina naprawdę znała w Paryżu prawdziwe księżniczki? – pytała z lubością Julia, wycierając stalówkę w różową bibułę.

– Znałam rozmaite osoby, moja droga.

– A dlaczego pani teraz uczy za pieniądze?

Izabela odpowiadała wtedy z kamienną twarzą, że uwielbia gramatykę, a dziewczynka patrzyła na nią z tym swoim bezczelnym, dziecięcym niedowierzaniem.

Była to zresztą prawda. Francuskiego uczyła się Izabela od dzieciństwa, najpierw pod okiem guwernantki sprowadzonej z Paryża, później zaś podczas licznych pobytów we Francji. W domu Łęckich język ten rozbrzmiewał niemal równie często jak polski, a lektura francuskich powieści i czasopism należała do jej codziennych przyjemności. Z biegiem lat opanowała nie tylko salonową swobodę rozmowy, lecz także subtelności gramatyki i stylu. Mówiła po francusku niemal bez obcego akcentu, a pisała z elegancją, której nie powstydziłaby się wykształcona paryżanka.

Nie miała żadnego urzędowego patentu z okręgu naukowego i nigdy nie zamierzała o niego prosić. Zamożne domy polecały ją sobie po cichu, z ust do ust, jak poleca się zaufanego lekarza albo dyskretnego rejenta – tytuł hrabiny czynił cuda u nuworyszów. Dla niej samej ten cichy obieg rekomendacji ratował resztki dawnej godności. Formalnie nie była przecież nauczycielką na posadzie, lecz gościem zapraszanym na konwersację – tyle że przy

pożegnaniu gospodyni zawsze wsuwała jej w dłoń zaklejoną kopertę, odwracając wzrok, jakby chodziło o drobną przysługę.

Po śniadaniu otworzyła szafę i wydobyła z niej ciemnogranatową suknię – jedną z zaledwie trzech, które nadawały się jeszcze do wyjścia. Czasy, gdy garderoba liczyła kilkadziesiąt kreacji, a suknie balowe zakładała najwyżej dwukrotnie, odeszły bez powrotu. Teraz każda szata musiała służyć przez kilka sezonów, a wytarte koronki przy mankietach przeszywała własnoręcznie przy lampie. Bo z elegancji rezygnować nie wypadało; pewnych zasad należało przestrzegać choćby po to, by zachować szacunek dla samej siebie.

Przed wyjściem spojrzała na starą fotografię w srebrnej ramce. Przedstawiała ją z mężem, hrabią Władysławem Rzewuskim, wkrótce po ślubie w Częstochowie. On – szczupły, elegancki, sporo starszy mężczyzna o nieco obojętnej twarzy. Ona – dwudziestodziewięcioletnia, uśmiechnięta do obiektywu.

Od tamtej chwili minęło wiele lat znaczonych upadkami. Wtedy, po skandalu z Wokulskim i nagłym zniknięciu dawnego świata, schroniła się pod skrzydła dalekich krewnych, uciekając przed duszną atmosferą warszawskich salonów i radami ciotek, które uparcie zaganiały ją do zamkniętego klasztoru sióstr sakramentek. Chciano ją zamknąć za kratą, wmówić jej, że dla zrujnowanej panny z dobrego domu jedynym ratunkiem przed hańbą jest habit i modlitwa. A w niej wciąż tkwiła niezgoda na taki cichy koniec.

Z tej klatki wyciągnął ją dopiero hrabia Rzewuski – zmęczony życiem, z gasnącym urokiem i długami rosnącymi szybciej niż pszenica na Ukrainie. Małżeństwo trwało niespełna siedem lat – w sam raz, by w pełni nacieszyć się prozą życia pod herbem. Władysław nie był złym człowiekiem; był po prostu arcydziełem bezużyteczności, żyjącym wspomnieniami o majątkach, które jego przodkowie zdążyli w dużej mierze roztrwonić przed jego narodzinami. Dzięki temu hrabia nie musiał martwić się przyziemnymi troskami związanymi z gospodarowaniem nimi, poza rodowymi resztkami.

Izabela pojęła dość szybko, że u boku szlachetnego małżonka dzieli los tonącego, który zamiast deski chwycił się kamienia z herbem. Dzieci nie mieli. A kiedy Rzewuski przeniósł się na łono Abrahama, Izabela poczuła żal,

a zaraz po nim ulgę: wreszcie mogła legalnie udawać hrabinę na własny rachunek.

Czy kochała Władysława? Ceniła jego nienaganne maniery, nazwisko i sposób, w jaki potrafił milczeć w towarzystwie. Przez lata nie poczuła do niego gniewu, co w małżeństwie uchodziło niemal za szczyt romansu. Ale miłość? Po co psuć tak znośny układ wielkimi słowami?

U Borkowskich zastała obie uczennice w salonie, który miał udawać wersalskie komnaty, a przypominał skład mebli u dorobkiewicza. Złocone gzymsy raziły świeżością, plusze krzyczały nowością, a w powietrzu unosił się zapach wczorajszego bigosu. Pani Borkowska z dumą prezentowała złocony serwis, jakby kosztowne filiżanki mogły przesłonić fakt, że dziadek szanownego małżonka własnoręcznie prostował gwoździe na Pradze. W Warszawie roku 1905 rodowód powstawał prędko: wystarczyły dwa przetargi dla carskiej armii, by z rzemieślnika wytopić patrycjusza z pretensjami do francuszczyzny.

Starsza, Julia, udawała, że czyta paryską gazetę; młodsza Zofia bazgrała w kajecie.

– *Bonjour, mesdemoiselles* – rzuciła Izabela z tym swoim dawnym, chłodnym ociąganiem.

Dziewczęta odpowiedziały chórem z wyćwiczoną manierycznością.

Lekcja szła leniwie. Na środku stołu leżała nietknięta *Eugenia Grandet* Balzaca w skórzanej oprawie. Pani Borkowska nie była pewna, czy Balzaca wypada dawać pannom do czytania, ale na stole wypadał znakomicie.

W pewnej chwili Julia podniosła wzrok znad podręcznika:

– Proszę pani… czy w życiu zawsze chodzi tylko o to, żeby kupić sobie odpowiedniego męża z dobrym herbem?

Izabela zamknęła książkę z suchym trzaskiem. Przez ułamek sekundy miała ochotę wykrzyczeć jej prawdę o tym, jak pięknie wygląda bankructwo pod hrabiowską koroną. Opanowała się jednak, poprawiła wysoki kołnierzyk i rzuciła z lodowatym wdziękiem:

– W życiu warto mieć jedno i drugie, moja droga: fortunę kupioną za świeże pieniądze waszego ojca i odrobinę rozumu, o ile rodzina zdążyła wam go zapewnić.

Gdy lekcja dobiegła końca, pani Borkowska zatrzymała ją w jadalni na filiżankę lury i narzekania na świat. Fabryka huczała od strajków, mąż nie sypiał, robotnicy żądali niemożliwego.

– A słyszała pani, moja droga pani hrabino, o tym powrocie? – Borkowska pochyliła się nad stołem. – Ten kupiec… ten, co go kiedyś pełno było wszędzie… Wokulski!

– Wokulski? – powtórzyła obcym głosem.

– A wziął i wrócił! Mąż mówi, że z milionami z Paryża, że kopalnie, że maszyny… Zatrzymał się w Europejskim. Znała go pani kiedyś, prawda?

– Znałam. Dawno temu.

– Teraz znów jest w Warszawie. Mąż mówi, że interesuje się jakimiś wynalazkami. Może nawet zainwestuje w naszą fabrykę…

Pani Borkowska trajkotała dalej o nowej sukni u wiedeńskiej krawcowej i perypetiach z pokojówką, a Izabela słuchała tego potoku słów jak przez watę. Kiedy westchnęła, pani Borkowska uznała, że obie jednakowo boleją nad krojem rękawów.

Więc wrócił. Po dwudziestu kilku latach. Zaledwie kilka ulic stąd.

Droga powrotna przez Nowy Świat dłużyła się niemiłosiernie. Tłum gęstniał, przechodnie grzęźli w błocie, na rogach gromadzili się robotnicy rozdający ulotki pod czujnym okiem żandarmów. Izabela szła wyprostowana, mocno ściskając rączkę parasolki. Przystanęła przed wystawą jubilera. Wśród broszek leżał złoty medalion. Przypomniała sobie klejnoty, które Wokulski usiłował jej niegdyś ofiarować – wtedy odrzucała je z niesmakiem, widząc w nich dowód złego smaku dorobkiewicza. Dziś, gdy liczyła każdą kopiejkę, wspomnienie tamtej hojności piekło jak wyrzut. Na szczęście pod medalionem wypisano cenę. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby odzyskać przytomność umysłu.

Wróciwszy do mieszkania, rzuciła mufkę na stół i podeszła do biurka. Z dna szuflady wyjęła pożółkłą fotografię Wokulskiego zrobioną na jakimś raucie, która zachowała się w stosie innych. Przyjrzała się jego twarzy.

– I co teraz, panie Stanisławie? – powiedziała cicho do pustego pokoju.

Dawniej wystarczyło spojrzeć w jego stronę, a już był przy niej. Teraz sama musiała go szukać, i to we własnej szufladzie.

Zastawszy Michalinę przy miotle, zapytała bez tchu:

– Przyszła dziś poczta?

– Nie. Przyniesiono tylko rachunek od krawcowej, proszę pani.

– Proszę położyć na stoliku.

Zasłoniła okno, bo światło zaczynało ją kłuć nieprzyjemnie w oczy. Wieczorem, gdy Michalina wniosła samowar, Izabela westchnęła głęboko:

– Michalino, czy ty wierzysz, że człowiek może się w ogóle bardzo zmienić?

Gospodyni nawet nie odłożyła tacy:

– Owszem, proszę pani. Mój świętej pamięci mąż przed ślubem kropli w usta nie brał, a potem pijał codziennie bez wyjątku.

Izabela uśmiechnęła się mimo woli.

– Nie o taką zmianę mi chodziło.

– A to nie wiem, proszę pani.

W poniedziałek miała przejść Krakowskim Przedmieściem po francuską książkę. Hotel Europejski znajdował się tuż obok. Myśl, że może go tam ujrzeć, paliła ją w piersiach równocześnie przyjemnie i strasznie.